



Rok II.

1868.

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”

rocznie	8 zlr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ — „
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Nr. 8.
23. Lutego.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr. 50 ct
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.



Ruiny zamku Tenczyńskiego.

Tenczyn niegdyś w województwie i powiecie Krakowskim, obecnie w Galicji, położony na wyniosłej górze z pięknym na otaczające okolice widokiem. — Zbudował go około r. 1320 Nawój z Przegini,

herbu Topor, wojewoda sandomierski, którego syn Jędrzej wojewoda krakowski pisać się zaczął z Tenczyna. Znakomity dom ten dobrze zasłużony ojczyźnie, wygasł jak historyk Piasecki utrzymuje, na Stanisławie, zmarłym r. 1634, w obozie podczas wyprawy tureckiej. Że zaś przeżył go ojciec Jan, wojewoda krakowski r. 1637 zmarły,

uważać przeto Jana właściwie należy za ostatnią iskierkę rodu Tenczyńskich; jedyna jego córka Izabella połączona ślubem z Łukaszem Opalińskim marszałkiem nadwornym koronnym, zlewem wielkiego majątku pomnożyła obszerne meżowskie dobra. Co do dziejów miejsca tego, godnem jest wspomnienie, iż po zwycięstwie pod Dąbrowem (Grünwaldem) r. 1410 osadził tu Jagiełło kilku znakomych jeńców krzyżackich. Oblężony przez Szwedów r. 1655, zamek własnością już Lubomirskich będący, poddał się na mocy układów, lecz generał Königsmarek, syn Karola Gustawa, niedotrzymując umowy, oprócz rabunku wiele pozabijał ludu. Roku 1703 był jeszcze mieszkalnym, ale czyli go Szwedzi w tym czasie spustoszyli, czy też innej doznał przygody, dosyć że coraz więcej niszczał i zupełnie zaniedbany został. Mimo to wszakże utrzymała się jeszcze przez lat kilkadziesiąt kaplica, zawierająca zwłoki Kazimierza Tenczyńskiego, które August Czartoryski, wojewoda ruski, dziedzic tej majątności przenieść kazał do parafialnego kościoła przyległej wsi. Tenczynka. — Roku 1787 oglądał Stanisław August na w półzwalone mury i wieże, które dotąd sterczą zarosłe zielskiem, sosną i jarzębiną.

We względzie mineralogicznym góra miejscowa jest jedną z najważniejszych w kraju naszym; składa się z porfiru lub migdałowcu; okolice zaś obfitują w kwarcie, ametysty, chalcedony i w kopalnie węgla kamiennego. — Przyległe miasteczko Nowogóra i 34 wiosek stanowią hrabstwo Tenczyńskie dzisiaj własność hr. Adama Potockiego.

K a r o l L i b e l t.

(Dokończenie.)

Uwolnieni Polacy, a między niemi Libelt jako jeden z naczelnych, zawiązali natychmiast komitet polski w Berlinie. Jak długo jeszcze w opinii wrzały czyste, nie zmacone interesem uczucia pierwszego natchnienia, tak długo musiał i rząd uwzględniać ową przemijającą popularność Polaków w Berlinie. Przyjmowano ich w pierwszych dniach na audjencjach u ministrów, wzywano ich nawet nieproszących o to, a zamiast Arnima przyjmował ich Radziwiłł ważny dla Polaków jako rodak a zarazem członek rodziny królewskiej. Z jego oświadczeń, uczynionych polskiej deputacji okazuje się najlepiej jak to wtedy rozumiano owo: Niech żyje Polska, któremu nawet król wtórował. Oto Radziwiłł zapewniał polską deputację: „że będzie, czego sobie Polacy życzą, będzie wojna z Moskwą“ i przytem płakał — może nawet szczerze.

Rozumie się, że po takich krokach ze strony naczelnika rządu i jego otoczenia, uważał Libelt sobie za obowiązek wydać odezwę do ziomków, jako jedyny akt publiczny, który miał kiedyś świadczyc o tych gabinetowych kłamstwach.

Równocześnie zawiązał się w Poznaniu komitet narodowy, który wysłał deputację do Berlina, żądając uznania niepodległości.

Król pruski przyciśnięty ze wszystkich stron podpisał ów znakomity akt reorganizacji Xięstwa, który nigdy nie wszedł w życie.

Polacy w Berlinie uczuli potrzebę czuwania nad sprawą reorganizacji pod boki rządu i króla. Komitet, który się zawiązał w Berlinie miał w swoim gronie Libelta, Mierosławskiego, pułkownika Biesiekierskiego, Cybulskiego profesora uniwersytetu w Berlinie i Szymańskiego ucznia tegoż uniwersytetu. Skoro wiadomość o patencie reorganizacyjnym doszła do Poznania, wyznaczył tamtejszy komitet narodowy natychmiast komisję do reorganizacji kraju. Do komisji tej należał znowu Libelt obok arcybiskupa, bardzo czynnego w owym ruchu obywatela, Antoniego Kraszewskiego i innych podczas, gdy w skutek reorganizacji rozpoczął się bardzo żywy ruch narodowy w poznańskim; podczas gdy król wysłał sprzyjającego Polakom generała Wilisenn w Poznańskie dla przeprowadzenia tamże reorganizacji, podniosła za plecyma tych niby konstytucyjnych i niby postępowych pozorów reakcja na dobre swoją głowę zaczęto podburzać ludność niemiecką przeciwko polskiej, obawiano

się coraz bardziej zbrojenia się Polaków, które w Poznańskim szybko postępowało i było znamieniem poparte przez udział ludu wiejskiego przyszło do starcia z wojskiem, którym prusacy zaczęli otaczać formujące się polskie zastępy. Po nieszczęśliwym skutku tych starć, rząd pruski domagał się kapitulacji i w polskich kołach były głosy za kapitulacją. Ale się Libelt sprzeciwił takowej stanowczo skutkiem tego była konwencja pod Jarosławiem zawarta, którą Libelt podpisał. Było to na wszelki wypadek ochronieniem zbrojnych zastępów w Poznańskim od hańby; jednakowoż lud zbrojny pragnący boju a nie obliczający skutków takowego przyjmuje za zwyczaj nie miło podobne choćby nawet zaszczytne zakończenie walki, która się skończyła jego klęską, pragnął ten lud jeszcze boju i spodziewał się zwycięstwa; dlatego, gdy Libelt ogłaszał zebrany w Środzie zbrojnym zastępom konwencję z pod Jarosławia i wystawiał potrzebę rozejścia się do domu, przyjęto to zawezwanie z oburzeniem tak wielkiem, że znajdował się w niebezpieczeństwie. Został on wysłany od komitetu do Berlina, aby tam założyć protest przeciwko najściu xięstwa poznańskiego przez ruchome kolumny. Energetyczny zawsze w politycznym działaniu zażądał on rozwiązania się komitetu wezwania wszystkich do broni i walki na śmierć, a to z powodu że rząd pruski nie dotrzymywał żadnego z danych przyrzeczeń. Ponieważ zaś komitet się nie rozwiązał więc Libelt wystąpił z niego. Pomimo tego nie odmówił on później posług w sprawie publicznej na żądanie komitetu przyjął misję i mandat poselski od powiatu Szmotulskiego do Frankfurtu, gdzie tedy zebrany był sejm niemiecki. Zjechał się on tam z delegatami lwowskimi, mianowicie: Ziemiałkowskim i Adolfem Ponińskim; krakowskimi: Janem Ledochowskim, Bronisławem Trentowskim i Kazimierzem Wodzickim. Że misja Polaków do Frankfurtu nie miała skutku; tego już dzisiaj niepotrzebujemy powtarzać, jak wtedy tę jej bezskuteczność powszechnie przewidywano. Żaden dziennik niemiecki nie sprzyjał Polakom prócz jednego republikańskiego (Die Reform) i żadne stronnictwo, prócz bardzo nielicznego stronnictwa republikanów pod przewodnictwem Arnolda Rugego.

Pomimo takich zawodów nie ustawiali kierownicy ruchu polskiego w swoich usiłowaniach. Powstała myśl utworzenia komitetu centralnego czyli władzy ogólnej któraby w imieniu Polski działała. Myśl ta podniesiona przez Antoniego Helcla i Maurycego Potockiego w Poznaniu znalazła uznanie w komitecie poznańskim. Dla porozumienia się w tym celu odbył się zjazd w Wrocławiu dokąd Libelt, Moraczewski, Roger i Raczyński wśród rozlicznych niebezpieczeństw pomiędzy wojska pruskie się tajemnie przedarli jako delegowani z komitetu. Tu rozbiły się zabiegi Poznańczyków o nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Polska sprawa miała się we wszystkich polskich ziemiach znowu ku upadkowi.

Zjazd wrocławski rozjechał się bez skutku a Libelt powróciwszy zastał komitet poznański już rozwiązany.

Jeszcze ostatni słaby promyk nadziei błyskał dla sprawy polskiej na zjeździe słowiańskim w Pradze. I tam był Libelt jako jeden z przedstawicieli Poznańskiego.

Reakcja która w całej Europie stłumiła ruch swobodny, która najboleśniej dała się czuć polskim ziemiom nie udało się przecież stłumić dzielnych umysłów. Podczas gdy inni podupadłszy na duchu cofali się z widowni, chwycił znowu Libelt za broń pokojową: za pióro. Redagował on założony wtedy przez kilku obywateli Dziennik Polski. Podziwiano nadzwyczajną czynność i wielostronność Libelta w pracy około tego dziennika, gdzie prawie wszystkie zaoopatrywał rubryki. Gdy i ten dziennik uległ jak wszystkie niemal pisma polskie naukowej reakcji wziął się Libelt do pracy umiętejnej.

Szereg dzieł jego poprzednio już wydanych i zapewniających poważne stanowisko w różnych gałęziach literatury, a mianowicie w krytyce literackiej filozofji, nareszcie w zawodzie dydaktycznym (bo pisał wykład matematyki dla szkół gimnazjalnych) i pięknej literaturze został teraz (od r. 1850 do 1855) pomnożony dziełem umiętejnym pod nazwą „Estetyka czyli Umnictwo piękne.“

Gdy się działalność konstytucyjna znowu zwolna rozwijać zaczęła został Libelt posłem z Poznańskiego na sejmie berlińskim, gdzie

zawsze, jak przedtem w życiu politycznym nszelne zajmował miejsce. Działanie koła polskiego na sejmie pruskim ma swoje dzieje, a częścią tych dziejów jest czynność Libelta. Musimy sobie odmówić pójsia w ślad za tem działaniem, które zresztą bardziej jest znane z dzienników, niż poprzednie czynności polityczne w spiskach lub zamieszkach walki rewolucyjnej.

W ostatnich czasach stał się rozgłośnym krok Libelta, dowodzący większej wprawdzie tkliwości na sąd komitentów swoich, niż tego mamy gdzieindziej (a zwłaszcza u nas) przykłady, ale też i większej czystości charakteru — mówimy tu o złożeniu mandatu polskiego z powodu głosu nagany, objawionego przez wyborców za postąpienie w sprawie Duńczyków na sejmie pruskim.

Nie radziłybyśmy widzieli w tem koniec politycznego żywota Libelta i pewni jesteśmy, że mąż co od lat trzydziestu kilku we wszystkich sprawach narodowych walczył orężem, piśmem i mową, któremu zdolności jego i charakter zapewniały zawsze w tych sprawach naczelną stanowisko, nie usunie się pomimo sędziwości swojej od służby dla ojczyzny, gdy go do niej okoliczności znowu powołają.

K. Widman.

Chwila z życia akademików polskich w Petersburgu.

(Wyjątek z teki)

napisał

M. Dzikowski.

(Ciąg dalszy.)

Poncz zrobił jakąś ogólną sensację w całym towarzystwie. Wypoczywano chwilę, by z tem większą gwałtownością rzucić się później w wir kawalerskiej zabawy. Rozmowa nie ustawała, ale przybrałszy jakiś łagodniejszy charakter, toczyła się zwolna, pół poważnie, pół żartobliwie.

— Ciekawy też jestem, mówił powoli młody brunet stojący koło pieca, z opartą głową spoglądając na sufit z przymróżonemi oczyma: ciekawy też jestem, co się z nami stanie tak np. za lat dziesięć lub piętnaście...

— Bardzo łatwo przewidzieć, odpowiedział wręcz ktoś ze strony. Będą z nas ojcowie licznej, lub mniej licznej familji, starzy kawalerowie, czyli tak nazwani dziekani, sędziowie i inni urzędnicy z zaokrąglonemi brzuchami, kilku kołatających się bez celu na świecie, no, a pewna część dostanie zawczasu się na tamten świat, zwinąwszy chorągiewki...

— A dziękuję za taką przyszłość, odpowiedział ktoś inny, ale ja myślę, że będzie trochę inaczej...

— J.... daj pokój, ciągnął znowu pierwszy — my bo myślimy, że ludzie mogą świat i głupi wprawdzie, ale zawsze porządek przerościć... Muru głową nie przebijesz...

— Ale cóż znowu, zkadże taki pesymizm, zawołał namiętnym głosem młody z niebieskimi oczyma blondyn. — I na to byśmy rozniecili w piersiach naszych najświętszy ogień, abyśmy sami później brudem i pelzającą prozą najnędnniejszego życia gasili go własną i świętokradzką ręką... Więc te prawdy społeczne, które mają być dla nas skazówką na przyszłość, byłyby tylko jakimiś wymyślanymi mrzonkami... Czy dla tego, że inni czolgają się, schlebiają wszystkim głupstwu i przesądom, więc już niema sposobu wznieść się wyżej... A, to nieprawda, to tylko człowiek, któremu sił brak, albo odwagi, może się dobrowolnie skazać na takie zwierzęce wegetowanie...

— Pomału, pomału, młody poeto — zaczekaj trochę — dziś tak mówisz, ale zobaczymy co później powiesz. Poezja, to nie życie, a życie to nie poezja...

— Ale nie prawda, nie prawda i jeszcze raz nie prawda — ja nie rozumiem jakiejś oderwanej poezji. Poezja z życia płynie —

w życiu właśnie jest poezja, tylko trzeba umieć odszukać prawdziwe jej źródło. Wszystko ma złą i dobrą stronę i życie ludzkie tak samo. Odemnie samego może tylko zależeć, którą stronę sobie wybiorę; ale żeby każdy człowiek był zmuszony chęć nie chęć w błoto grząść — wybacz — nie wierzę.

— Nie dla tego wleziesz w błoto, żebyś chciał, ale dla tego, że cię drudzy wpechną.

— Ale od czego siła moralna, od czego przekonanie, sumienie honor...

— At... mój kochany — jednym słowem świat głupi... machnął ręką i splunął pesymista... Ja, bo go znam trochę, krwawo on mnie zaszedł za paznokcie... Dziś mam lat trzydzieście, a przeszedłem może więcej, jak nie jeden siedmdziesięcioletni starzec... Ani jedna ręka mnie nie wsparła, ani jedno usta nie pocałowały, ani jedno serce, nigdy dla mnie nie zabiło... Dzieciak zbierający szmaty po śmietnikach, wyrostek czyszczący buty, uczeń szturchany i popychany przez nauczycieli, dla tego, że nikt się za mnie nie upomniał, żołdat bity pałkami i wreszcie wasz kolega, w trzydziestym roku wyłysiały i z pooraną twarzą od troski — to moje życie... A, kto tak żył, ten musi się na świat czarno patrzeć... Ale dajmy temu pokój — to dziś nie na czasie i nie w miejscu.

Wszyscy patrzyli na mówiącego. Nikt nie śmiał się odezwać. Bolesno było słuchać wyrzutów młodego człowieka, który właściwie nie miał młodości. Była to straszna skarga, wołana może trochę rozgorączkowaną wyobraźnią, ale tem szersza i prawdziwa.

— Dajmy na dzisiaj pokój takim smutnym wspomnieniom, przerwał nareszcie ktoś powszechnie milczenie... Przykład, jakkolwiek smutny i prawdziwy, nie może posłużyć za ogólny dowód... Należy ci się szacunek i miłość od nas wszystkich, żeś własnymi siłami przebił się przez takie piekło na ziemi i to właśnie tem większą daje nam wiarę, że prędzej, czy później sprawiedliwość i prawda zwyciężyć muszą. Panowie! Cześć naszemu koledze!

Niech żyje! wołano podnosząc szklanki z ponczem do góry — niech żyje!...

Chwila smutnego wrażenia nie trwała długo. Młodość, której życie gra wszystkimi fibrami organizmu moralnego i fizycznego — nie lubi ślamazarnych łez ronić. Podzieli nieszczęście, otworzy, serce przyciśnie do piersi, ogrzeje, podniesie, natchnie siłą upadającego pod brzemieniem ciężaru życia i znów na różowych ustach zawisnie pieśń wesela; nadziei — miłości... Pieśń dla młodego serca, to pocałunek kochanki... Im bardziej przyciskasz usta, im więcej całujesz, tem trudniej od ust się oderwać... W ustach kochanki i w słowach pieśni, jest jakaś magnetyczna siła, jest jakiś ożywczy balsam na zubożone i zakrwawione piersi... Kochanka jest uosobnieniem ideału — pieśń uosobnieniem poezji... Oboje porodziła miłość...

Jakby więc dla zupełnego otrzeźwienia się z chwilowego smutnego wrażenia, zagrzmiiała ze wszystkich piersi znana i tyle upowszechniona pieśń akademicka:

Hej koledzy — precz frasunek,
Niech nas rzeźwi dobry trunek,
Bo przy szklance, pogadance,
Słodko splywa czas...
Choć Adam nie żyje miły,
I słowacki pełen siły —
To Bohdanek, nasz kochanek
Jeszcze śpiewa nam...

Prawda, prawda, niech żyje Bohdan Zaleski! i znowu zacerpnięto nowe posiłki z porcelanowej wazy. Oddano cześć ukraińskiemu pocie i ciągniono dalej:

Chociaż przemoc się uwzięła,
Jeszcze Polska nie zginęła,
Bo gdzie jeszcze żyją wieszcz —
Żyje naród tam!...

Tu powstała najgwałtowniejsza scena. Powtórzono drugi raz: „Chociaż przemoc się uwzięła — Jeszcze Polska nie zginęła! i tak silnie uderzono szklankami o stół, że kilkanaście w drobne kawałki się rozprysnęło... Miało to być wymownym protestem przeciwko poli-

tycznej zagładzie Polski... Serce się gwałtownie rzucało w piersiach — ręce kaleczyły się skorupami pryskającego szkła... Na krew nie zwracano uwagi — zapal płonący w sercu buchał przez usta i z pewnością rezygnacją wygłosił ostatnie dwie zwrotki pieśni:

Jutro może co do słowa,

Jenerała Szuwałowa

Pieśń ta dojdzie —

Śpiewak pójdzie

Do podziemnych jam —

A więc bracia nalewajmy —

Gaudeamus zaśpiewajmy —

W naszej ciszy, niech usłyszy —

Niebo pieśni głos!...

Skończyła się piosnka, ale w piersiach, co jak wzburzone morze falowały, nie tylko, że się nieuspokoilo, ale owszem zapal stopniował się i dochodził co raz wyższej sily... O porządku nie było mowy, a jednak wszyscy się rozumieli i nikt nikomu nie przeszkadzał... Uczta dochodziła zenitu temperatury podniesionej patriotyzmem, krwią młodego ciała, wreszcie winem i wyborynym ponczem. W głowach szumiało — serce stało na oścież gotowo przyjąć nieprzyjaciela, byleby tylko przestał być wrogiem. Tu rozlegały się pocałunki, manifestujące ściślejsze przyjacielskie uczucia; tam się ściskano i przepaszano, owdzie zdołano pogodzić dwóch zaciekleńców nieprzyjaciół. Gdzieindziej strzelający dowcip wywoływał serdeczny śmiech — w innym miejscu toczyła się jakaś zacięta polemika; przekonywano się wzajemnie — rumieńce zapalu występowały na twarze młodych mędrców; każdy był pewny swego — mówiono, argumentowano wiele, ale obydwie strony zostały nie wzruszone — każdy przy swojem.

— Hola! hola! na bok! na bok! Proszę się szykować w pary, zakrzyczało kilka głosów. W mgnieniu oka wyniesiono duży stół do sieni, krzesła w kąć poodsuwano.

Perytus! rznij w pierwszą parę mazura! Perytus chwycił pierwszego lepszego za rękę — poskoczył na przód, a za nim z całą fantazją, butą i nadzwyczajnym łomotem, całe towarzystwo puściło się wplasy, śpiewając pełnemi piersiami:

Lazła niegdys z pleców skóra,

Darł ją wrogi pazur,

Ale Polak szedł mazura,

Hej! nie ma jak mazur!

Bo my dawnym obyczajem,

Mamy dwie zalety —

Przyjaciolom serce dajem —
Wrogom trzepiem grzbiety!..

Zaimprovizowany mazur, grzmiał w prawdziwym znaczeniu tego słowa, aż szyby w oknie się trzesły... Taniec, ma odrębną jakąś własność. Charakter osobisty, maluje się w twarzy tańczącego. To też i mazur, o którym mowa, chociaż się składał z samej, że się tak wyrażę pleci brzydkiej — miał także swoje charakterystyczne cechy, już chociażby przez to samo, że tanecznicy niezem się nie krepowali i wbrew wszelkim zasadom choreografji, każdy na swoje kopyto, jak umiał tak pana Boga chwalił. Jeden zamasyście wywijając nogami, nie zważał, że w tyle znajdującą się parę zmusza do skakania w górę, bo na wszelkiego rodzaju „pas“ za skąpo przestrzeni pozostało. Drugi wywijając czapka w lewej ręce, rozbija inne pary. Inny biorąc asumpt tylko humoru, wyrabia nogami komiczne esy i floresy, dla któ-

rych jaki biegły artysta-baletnik musiałby dopiero pisać choreograficzne prawidła. Inny znowu nie zważając na nic, co przed nim, za nim, koło niego się znajduje — pędzi, jak rozhukany rumak lub jak rozentuzjomowany żołnierz na mury fortecy. Słowem była to jakaś burza, szalejąca na tempo piosnki mazurowej...

Wzmagający się hałas doszedł w momencie do pełnego fortissime, a w dodatku brzęk tłuczących się butelek, które jeden z mniej widać zgrabnych tancerzy przewrócił na ziemię razem ze stołem — wszystko to było powodem zjawienia się policyjnego oficera, nie mogącego naturalnie słuchać obojętnem uchem podobnego hałasu o godzinie 2giej w noocy. Wszedł on z wolna do sali, gdzie już przestano tańczyć, odpoczywając i chodząc na wszystkie strony — zdjął kask z głowy, a widząc, co się święci, jak najgrzeźniejszą przybrał fizjonomję.

— A to co — wołano zewsząd — zkad go tu djabli przynieśli...

— Wyrzucić go oknem!

— Zrzucić go ze schodów!

— Czego tu chce to bydle.

— Pal go!..,

Oficer stał w progu i nie nie mówił, czy dla tego, że nie rozumiał może tych epitetów, wygłaszanych dosadnie w polskim języku, czy z innych powodów — dość, że wcale się nie odzywał i kiwnąwszy na gospodarza, wywołał go do drugiego pokoju.

— Policja kazala się nam rozejść — rzekł powracając gospodarz, bo już późno.

— Co rozejść!? krzyczano. —

— A to gałgany!...

— Ktoby ich tam słuchał!...



Ubiory polskie z XVI stulecia.

— Oficer znowu pokazał się na progu sali i ukłoniwszy się grzecznie, rzekł po rosyjsku.

— Panowie będą łaskawi rozejść się, bo już jest bardzo późno, po drugiej, a prawo policyjne zakazuje takie halasy w późno w noc wyprawiać.

— Widzisz go jaki prawnik!..

— Panie, odezwał się któryś po rosyjsku, a jaka jest stolica w Portugalji?

— Jutro panu powiem, odrzekł złośliwie policjant.

— Dla czego nie dzisiaj?

— Bo pan nie spamięta.

— Widzisz, jak się odgraża, wołano po polsku.

— Warto by z nim coś zrobić na pamiątkę...

— Wszak prawda panie, powiedział znów ktoś po rosyjsku, odwracając się do nieproszonego gościa, wszak prawda, policjanci przyzwyczajeni są do skoków, bo często schody liczyć muszą?

— Ależ dajcie pokój, odezwał się ktoś z trzeźwiejszych; po co robić awantury. Widać jakiś porządny człowiek — cóż on winien, kazali mu, to i przyszedł. Dajcie mu pokój...

— Chodźmy, chodźmy do domu, zaczęły się głosy odzywać.

I zaczęto po mału wychodzić.

Na ulicy dośpiewywano jeszcze ostatniej zwrotki „Gaudeamus igitur“, pomimo prośb i zaklinań grzecznego policjanta.

Koniec.

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

Widok każdego więzienia, jak wszystko, co grozi swobodzie, temu jedynemu i przyrodzonemu bogactwu człowieka, wznieca w każdym mimo przechodzącym mimowolne uczucie strachu i wstrętu.. — Więzienie jednak Tobolskie ma to do siebie, iż napawa cię oburzeniem i odrazą — i milej ci będzie nałożyć pół wiorsty drogi, byle tylko nie iść blisko niego.

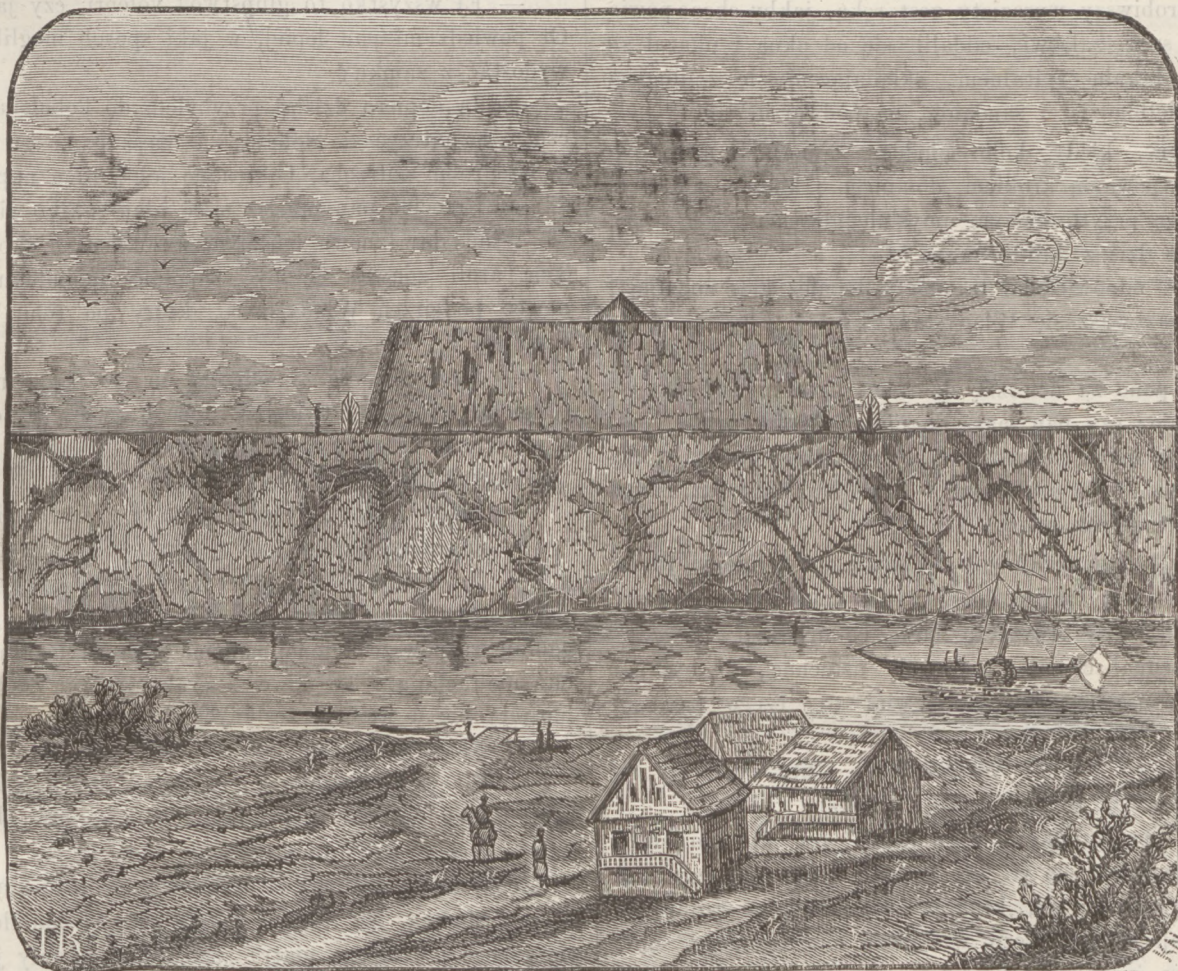
Brzęk kajdan przechadzających się po wewnętrznym podwórzu więźniów, dolatujący aż na plac przedwięzienny, wyschle i szare twarze tych, którzy wyciągają kościste swe ręce z po za brony, by u siedzących u wrót przekupek do zjedzenia co kupić, sama na koniec zgrozą napelniająca postawa budynku — wszystko to nie jest

tego rodzaju, by wabić wzrok i uwagę człowieka. Przechodząc mimo, każdą razą ściska ci się serce na wspomnienie tego szarego, wcale odrębny charakter mającego świata, i żal ci tych sił i życia, co muszą marnie ginać pod sklepieniami i wśród dusznej atmosfery ciemnic.

A wiele sił i życia, wiele tam przepada...

O ile zewnętrzny widok więzienia jest jednostajnym, o tyle wnętrze jego przedstawia się ożywionem, choć ponurem i dzikiem.

Ono składa się z kilku podwórców wielkich i kilku mniejszych, przegrodami murawanymi i bramami tak od siebie oddzielonych, iż razem z budynkami do siebie przynależącymi tworzą jakoby osobne więzienia.



Widok więzienia w Tobolsku ze strony zachodniej.

Minąwszy wjazd i przeszedłszy kilkanaście kroków bramą sklepioną po pod mieszkaniu dozorey, stajesz na podwórzu obszernem — twarz w twarz z długim budynkiem dwupiętrowym pięknej struktury. — Po skrzydłach tego zabudowania wznoszą się w kształcie nie wysokich wieżyczek wcale zgrabne mezoniny. Wielkie okna pierwszego i trochę mniejsze drugiego piętra nie są opatrzone kratami, gdyż budynek ów cały przeznaczony jest na szpital więzienny. Plac przed nim się znajdujący, odgradzony ścianą muru zewnętrznego od

tarasu pozawięziennego i zagrodami do obu skrzydeł szpitalu przytykającymi od dwóch podwórcz, nosi nazwę podwórza szpitalnego.

Na tem to podwórzu, które jest najobszerniejszem ze wszystkich, bywa zawsze pełno więźniów, skrócających sobie długie chwile niewoli to przechadzką, to gawędką, to nakoniec bezmyślnem gapieniem się na chmury lub niebo.

Gwar rozmowy różnorodnych języków, mających tu zawsze swoich przedstawicieli, brzęk kajdan, rozmaite i dziwaczne odzienia więźniów, uważających to miejsce za rodzaj publicznej przechadzki; srogie wyrazy ich twarzy, dzikie wzroki i nieobudane ich ruchy; wszystko to razem wzięte nadaje tej części więzienia ów wyraz dzikiego i ponurego życia, o którym poprzednio wspomnieliśmy.

Zatrzymamy się cokolwiek tutaj, nim dalszy ciąg opowiadania dowiedzie nas i do innych części zamku.

Miało się ku wieczorowi. Jesień była bliska, niebo powlekało się już często szaremi jakby z ołowiu ciężkimi chmurami i gęste powietrze tchnęło wilgocią. Wiatr dość silny miotał od czasu do czasu grubemi niby z przelatujących chmur zerwanymi kroplami dżdżu i mokro było pod nogami na podwórzu kajdannem. Mimo niestalej pogody, jednak podwórze to, jak zawsze, pełne było więźniów. Ze wszystkich prawie okien pierwszego i drugiego piętra budynku szpi-

talnego, co dla ciepłego dość wieczora otworem stały — wyglądały wybladłe twarze słabych, szukających rozrywki w widoku ożywionej i urozmaiconej przechadzki więźniów.

Po chodniku z desek zrobionym i równoległym z budynkiem szpitalnym do bram wiodącym, chodził od półgodziny prawie młody człowiek jakiś, nie mieszając się wcale do około snujących się więźniów. Czamara z grubego czarnego sukna, wysokie buty, francuskie kepi i przewieszona przez plecy torbeczka podróżna świadczyły, iż był Polakiem.

Samotnie tak się przechadzający i widocznie w jakichś myślach zatopiony więzień zwrócił na siebie uwagę trzech ludzi, co stali u otwartego okna pierwszego piętra szpitalu. Już od chwili poglądano na niego i gorąco między sobą o coś się sprzeczano. Niebawem najstarszy z nich, zrobiwszy wyrazisty gest ręką, jakby chcąc powiedzieć, iż najprędzej spór załatwi, oddalił się od okna i ukazał się nie długo potem w ubraniu szpitalnym, składającym się z długiego płaszcza z szerści wielbłądziej i sandałów, na podwórze.

Wyciekawszy pory, kiedy koło młodego samotnika mało było więźniów, on poszedł pewnym krokiem do niego i kładąc mu rękę na ramię zagadnął go przytłumionym umyślnie głosem:

— Pan przybyłeś dziś z Jałutorowska?

— Tak panie! — odpowiedział tamten podobnie głos zniżając.

— Czy to pan nazywasz się Władysław S.? —

— Do usług...

— Pan sądzony pono za ucieczkę do robót katorżnych?

— Tak, tak panie; czy pan masz do mnie jaki interes?

— Hm, jak też to panu powiedzieć?... prawdziwie jestem w kłopotcie... ale wie pan co, będę otwartym — spróbowałem raz, zamysłasz pan pewnie i drugi raz uciec.

— Ja? drugi raz? tego, zdaje mi się wcale, panu nie mówiłem.

— Ale ja wiem o tem bardzo dobrze, — a musi pan wiedzieć, iż jestem człowiekiem, który zawsze to mówi, co myśli.

— Gdybyś pan jednak chciał mojej rady usłuchać, to byś pan w podobnych okolicznościach zawsze mawiał to, czego pan nie myślisz...

— No mniejsza o to panie Władysławie — nie będziemy się spierać o słowa ale prawda że pan myślisz uciekać?

Na takie śmiałe i bezgródkowe zagadnięcie, ten którego słaby zwiał Władysławem, zmieształ się trochę. Pytanie zniecka czynione trafiło widać w same jądro myśli, których świadkami nie radby był mieć wielu. On spojrzawszy w oblicze nieznanego sobie współwięźnia; który go jednakże tak dobrze znać się zdawał, lecz nie widząc w wyrazie twarzy tego ostatniego nic, coby podejrzenie badaniem zrodzone uzasadnić mogło, zmienił wyraz oblicza i zapytał na wpół ze śmiechem:

— A któżes to pan jest, że przenikasz tak tajemne zamiary jak zamiar ucieczki?

— Bez obawy panie Władysławie! — pospieszył dodać słaby biorąc za rękę swego nowego znajomego — ja Zabiello, dymissjonowany porucznik wojsk rossyjskich, byłem już raz w Orenburgu w saldaty zesłany, z tamtąd zemknąłem i złowiono mnie. Teraz jestem także katorżnik jak i pan i chciałbym mu w ucieczce towarzyszyć. Mnie nie ludzi, jak tych niestety, co idą z nami, swoboda, jaką nam tu dają. Znam ja na tyle rząd moskiewski, aby wiedzieć, jak nam za nią w Nerczyńsku zapłacić każą. Nie życzyłbym sobie wcale tam dochodzić.

— Zkądże pan znasz mnie tak dobrze, że nie wahasz się wykrywać przedemną podobnych planów? — zapytał Władysław robiąc miejsce słabemu na chodniku i przedłużając już wspólnie z nim przerwana przechadzkę.

— Oj, jaki bo to pan niewierny panie Władysławie — ja Litwin, a więcej od pana mam zaufania do ludzi. Ale kiedy już panu koniecznie chce się o wszystkim wiedzieć; to powiem, jakim sposobem dowiedziałem się o nim. Oto staliśmy u okna kiedyś się pan przechadzał. Twarz pańska zainteresowała nas, zaczęliśmy się więc pytać o pana. Przyprawiony dziś do naszej komnaty słaby, włóczęga jakiś, moskal, który szedł z panem w jednej partji, opowie-

dział nam o panu, co wiedział, i ot źródło zkąd zaczerpnąłem tych wszystkich wiadomości.

— Czy mówił toż samo, iż chcę drugi raz uciekać?

— Nie! to mój domysł panie Władysławie — lecz prawda, że się nie mylę?

— Być może... ale i w takim razie panu z tego nic nie przyjdzie, bo co się tyczy chęci pańskiej towarzyszenia mi, to nie wiem, czyby się to dało tak łatwo uskutecznić, jak panu się zdaje!

— Dlaczegoż nie?

— Panów, jako przestępców politycznych, nie pilnują tak ściśle, mnie zaś, który z powodu ucieczki pierwszej straciłem prawa więźniów politycznych, zmieszali jako zbiega z ruskimi i strzegą jak pan wiesz bacznie.

— Ej wszystko to głupstwo! volenti, czy jak tam, nil difficile! Ot powiedz mi pan lepiej, w jaki sposób moglibyśmy się najłatwiej wydostać z zamku?

— Ja dopiero dzisiaj przybyłem do Tobolska i nie miałem jeszcze czasu rozpatrzeć się dobrze; a wiesz pan, że takie rzeczy od razu dobrze robić potrzeba, bo trudno ich potem naprawiać.

— Przecież pan musisz mieć plan jakikolwiek?

Władysław znowu baczny wzrokiem z ukosa zmierzył słabego. Ten atoli zdawał się być zupełnie spokojnym i nie przypuszczał nawet podejrzeń Władysława, który po tem badaniu uspokoił się zupełnie.

— Jeżeli prawda — odrzekł on po krótkim namyśle — co mi mówiono, to najłatwiejszy sposób wyjścia dla polaków, byłby z przykazu.

— Tak panie, to i nasz zamiar!

— Jakto wasz? a więc pan masz jeszcze więcej towarzyszków?

— Z panem byłoby nas czterech. Czy pan ma co przeciw temu?

— Ja — nie! bo w ostatecznym razie, gdyby nas było za wielu, to po ucieczce możnaby się rozejść. Dziwno mi tylko, że przy tak ogólnie rozpowszechnionej nadziei powrotu legalnego są tacy którzy nań nie rachują... To dowodzi praktyczności z ich strony, której dotąd niestety nie u wielu z zesłanych dostrzegłem.

— Niech sobie tam marzą! rozczarują się oni w Nerczyńsku!

— Wszystko to dobrze, panie — mówił Władysław biorąc słabego za rękę — im więcej tem lepiej — lecz chodzi tu o to, żeśmy jeszcze pod strażą i to strażą nie lada jaką...

Zegar na wieży cerkwi biskupiej, co nieopodal od więzienia stała, uderzył siódma. Na dworze dobrze już ściemniało. Oświetlone okna pierwszego i drugiego piętra szpitalu wyglądały jak tyleż lamp w powietrzu niewidzialnie zawieszonych, gdyż murów dla ciemności trudno już było rozróżnić. Po więzieniu rozległ się z nad głównej bramy jęczący odgłos dzwonka, znak do zamykania kaziem dającego. Tłum więźniów leniwie z podwórza zaczął się rozchodzić po swoich miejscach. Była to pora przeliczania czyli tak zwanej „powierki.“

— „Powierka już!“ — rzekł Władysław żegnając się ze słabym. — Do jutra więc, jutro obszerniej pomówimy.

— Gdzie pana umieszczono? — zapytał słaby.

— Na podwórze kajdannem!

— Ze zbrodniarzami razem?

— Tak panie! na pierwszym piętrze.

— A więc do widzenia!

I rozeszli się.

(C. d. n.)

Przegląd Literacki.

(Powieść z dawnych czasów.)

Niedawno opuściła prasę drukarską nowa powieść p. Maurycego Dzieduszyckiego pod tytułem „Powieść z dawnych czasów.“ Autor znany dotychczas czytającej publiczności z swych cennych lubo może zanadto jednostronnych dzieł historycznych, próbował sił swych po raz pierwszy na polu powieście-pisarskiem.

Styl piękny, język czysty i jedyny są prawdziwymi ozdobami tej powieści, zaleta to tem większa im mniej przyznać ją można licznym terazniejszym pisarzom powieści.

„Powieść z dawnych czasów“ jest raczej rodzajem pamiętnika. Za wprowadzonymi osobami widać autora, który nimi kieruje i każe im tak się poruszać, mówić i myśleć jak sam tego chce. Charaktery nie wyrabiają się w ciągu zdarzeń, od początku aż do końca, nie widać

w działających osobach najmniejszej zmiany. Bohaterowie powieści Stanisław i Helena są zawsze ci sami, żadne nieszczęścia, które ich spotykają nie zmieniają wcale.

Osoby w powieści porusza autor jak marjonetki. — Pochodzi to ztąd, że cała powieść napisana jest tendencyjnie, z góry jednych potęg, drugich broni zawsze i wszędzie. Mówiliśmy że autor opisuje czasy Zygmunta III, czasy w których Polską rządził zakon OO. jezuitów, nie chcemy tu występować z oklepanymi już zarzutami przeciw temu zakonowi, ale musimy wspomnieć, że nietolerancję religijną dopiero ten zakon do ojczyzny naszej wprowadził. Jak dalece ta nietolerancja przyczyniła się do upadku Polski do wszystkim wiadomo. Zadaniem Państwa jako instytucji czysto ziemskiej, jest zapewnić obywatelom w jego skład wchodzącym jedynie tylko dobrobyt tu na ziemi. O tem zapomniał autor chwalać panowanie Zygmunta, który gwałtem chciał wszystkich nawracać, aby im zapewnić zbawienie. W swej stronniczości dochodzi autor nie raz za daleko. W powieści wprowadza katolików i dysydentów, pierwsi są bez wyjątku ludźmi szlachetnymi, sprawiedliwymi, miłując ojczyznę nadewszystko, zawsze gotowi do poświęcenia, drudzy dysydenci wszyscy przewrotni, chciwi, zdradcy, ba! nawet zbrodniarze; u jednego z opisanych dysydentów przebudza się sumienie, ale cóż? w chwili kiedy postanawia być uczciwym przechodzi na katolicyzm. Czy autor w samej rzeczy myśli, że protestant albo kalwin nie może być prawym człowiekiem?!

Aby ta nietolerancja wpadła w oko, nie potrzeba jak autor mówi, by krytyka była ową modną lwicą, z cygarem w ustach — zasada tolerancji jest bardzo dawną i modzie nie podlega!

Zamiast pogadanek straszne widzenie.

- Wiecie coś nowego?
- No mów... nie nudź nas długo, co masz nowego?!
- Dziennik skonfiskowano! i to za wstępny artykuł.
- Cóż tam w nim było? — pytano mnie do koła obstepując: pewnie o stowarzyszeniach!?
- Nie! —
- Albo o Wydziale!?
- Zachowaj Boże!
- To o złych drogach!?
- Nie wartoby o tem pisać!
- O dziurach w mostach!?
- Nikt o nich nie myśli!
- O drożynach lub wyborach?!
- I to nie!
- A cóż!? o moskalofilach; przecież w ostatnim swym przejeździe, caryca zostawiła ślady (brylantowe)... że nam sprzyja; po co nas straszyć!
- Nie będę was dłużej nudził; otóż skonfiskowano dziennik... że napisał o emigracji!..
- Strasznie!! — zauważał jeden.
- Przerażliwie! — wrzasnął drugi.
- Horrendum! — jęknął trzeci.
- Niesłuchanie! pisał czwarty.

Piąty zaś, odsapawszy swoje przerażenie, nachyliwszy jak koń fiakerski swoją głowę, wyrzekł z namaszczeniem rabina: „Dobrze, bardzo dobrze; po co te spiskowania, ta ciągła opozycja, po co wspominać o emigracji, o spiskowcach i szalonych, którzy o niczem nie myślą tylko o ojczyźnie... przecież nikt nam jej wydrzeć nie chce gdy ją posiadamy.

- Mówimy po polsku — powiedział pierwszy.
 - Mamy kasyna! dodał drugi.
 - Teatr polski dwa razy na tydzień! — rzekł trzeci.
 - I gimnazjum o czterech klasach! — zauważał tryumfalnie czwarty.
- Całe grono zadowolnione, wyraziło swoje oburzenie na dziennik, który porusza tak drażliwe kwestje i pisze o emigracji!
- Nie sądźcie tak zapalczywie, nie wiedząc co tam było; Dziennik pisał o emigracji... że i oni są Polacy.
 - Któż to im odmawia? — bąknął pierwszy.
 - Że kochają swoją ojczyznę...
 - Żeby kochali, cicho by tam siedzieli.
 - Że wyparci przemocą z kraju, nie są włóczęgami...
 - Na co było się buntować?! — zauważał exczarnikiewicz, auskultant prokuratorski.
 - Że cierpiąc nędzę i tęsknotę za rodzinną ziemią, w której obronie ulegli, należy im się przynajmniej współczucie.
 - Bardzo ich żałujemy! ale na co się mieszają w nasze sprawy? My tu najlepiej wiemy, co nam potrzeba i czynić wypada, oni o tem sądzić nie mogą, żyjąc za granicą — ofuknął się jednym oddechem, zapalony cylindrowicz, nowo kreowany dygnitarz.
 - I każdy i wszyscy — prześcigali się w dowodach i wywodach, że Dziennik piszący o emigracji, dał niezbite poszlaki, że jest pismem:

demokratycznym! kunistycznym! socjalistycznym! rewolucyjnym! niebezpiecznym! — albowiem pisze o emigracji, o jej tęsknocie za krajem, o jej prawie działania dla ojczyzny i jej nadziejach!

Wszyscy i kaźden z osobna, osądzi to, że to jest nadużycie, i że prokuratorja jest w słusności, rygorem przytłumiać podobne dążenia do wywrotu; które w następstwach mogą doprowadzić do nieszczęść!

Jak rozbuńdziuczone indyki na widok czerwonego koloru, jak rozhukane prosięta, gdy wywróciły koryto, jak kapłony rozochocone, udając pianie kogutów — wszyscy i kaźden z osobna stroili miny, poważne, bundziuczne, zwycięzkie po tych wywodach, dowodach i motywach, gruntując swoje zdanie, że źle bardzo, źle pisać o emigracji, która sama z własnej przyczyny sobie winna; że nie może używać praw liberalnych, jakimi są: kasyna, stowarzyszenia, wybory posłów do rad miejskich — powiatowych — gminnych — do sejmu — ciasnego raichsratu — szerszego raichsratu — pełnego raichsratu i do delegacji!!!

Stałem w ogniu działowym, kartaczowym i karabinowym a nie doznałem takiego huku, syku i świtania, jak pod tą nawałą słów w zapale wymówionych!

Byłem zagłuszony!

Gdy uzyskałem zmysły, stałem sam, oparty o drzewo — a w dali o kilkanaście kroków, widziałem cały szereg śmiejących się, wałęsających mych przed chwilą towarzyszy.. Mimowolnie wymówiłem słowo „Emigranci!“ i nasunęło mi się dziwne widzenie.

Wyobrażałem sobie, że te młodzieniaszki są chodzące trupy!.. że to nie są żyjące istoty... że to tylko kadłuby bezdusznych, bezsercowych nieboszczyków.

To oni emigranci! ale emigranci moralni! albowiem dusza i serce wyemigrowały z ich ciał i uleciały w obce strony i nie pozostawiły na tym padole płaczu, żalu ni nadziei a tylko wymuskane kadłuby ze skamieniałem sercem i gąbkowatą duszą — a ten zapach, który woniań parumowaną otaczał jeszcze to miejsce, które opuścili, to zapach pewnie tego balsamu którym nacierają trupów aby ustrzedz je od zgnilizny — to było widzenie!.. to trupy chodzące... mumje egipskie w kubrakach.

W złudzeniu przetarłem oczy — patrzę lepiej — a to ludzie, ludzie żyjący o... „nie! to nie żyjący... „to bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy“!.. To wy emigranci — gdyż ni duszą ni sercem nie należycie do kraju!

G.

Religijne wyobrażenia niektórych narodów azjatyckich.

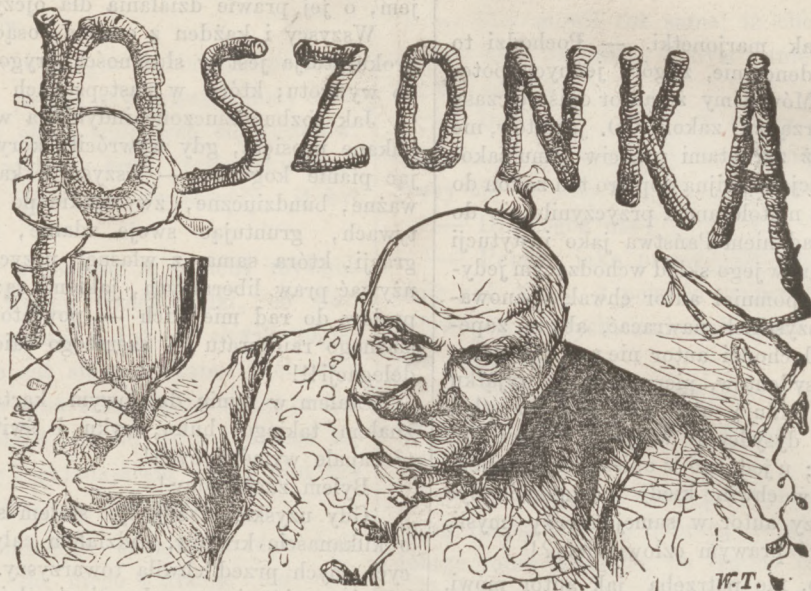
1. *Budhaizm*, założycielem którego jest Budha, urodzony na 2214 lat przed Chrystusem. — Narodził się on wedle wyobrażeń jego wyznawców w nadzwyczaj ciekawy sposób: — matka poczęła go, używając wyrażenia galicyjskiego, zupełnie pojedynczo — ktoś się na nią popatrzył i urodziła syna z pod ramienia. — Tak tedy ów Budha, urodzony z pod ramienia stał się założycielem religji, która nie uznaje Boga wiecznego niestworzonego. — Celem żywota wedle budhaizmu powinno być to, ażeby kaźdy stał się świętym, a kaźdy nim się stać może, kto odprawi pokutę za grzechy; pokuta ta polega na tem, że dusza ludzka po śmierci przechodzi w zwierzęta wszelkiego rodzaju, a kiedy już stanie się świętą, wówczas spływa z Budhą w jedną istność — a Budha się rozplywa w nicość, a ta nicość to jest właśnie to szczęście, które nas czeka. — (Słowo w słowo takie same zasady przyjął i sekta nihilistów moskiewskich p. r.) Przykazania budhaizmu są następujące: Nie zabijaj najmniejszego zwierzęcia, ponieważ w kaźdem jest człowiecza dusza, która cierpi za grzechy, nie kradnij cudzej żony ani bliźniego kochanki, nie kłam, nie używaj wina ani opjumu, nie kłuć się, nie złość się, nie paplaj darmo, nie chciej cudzego dobra, nie życz sąsiadowi śmierci, nie wierz w fałszywych bogów.

Nauka ta jest najstarsza, ponieważ wzbrania podziału społeczeństwa na kasty, — które to bramaizm zaleca. — (Galicjanie przeto należą do wyznawców bramaizmu p. r.) — Jako najpewniejszy sposób, ażeby się stać świętym w krótkim czasie, podaje budhaizm hojne rozdawanie jałmużny — a za największą jałmużnę uważa, gdy jeden za drugiego się poświęca. — Założyciel dawał największe przykłady poświęcenia z siebie: spotkał on daleko od wody krokodyla, który był bardzo spragniony — wziął krokodyla na barki i dwa dni go niosąc doniósł do wody — napił go, potem uciął sobie rękę i dał ją pożreć krokodylowi, który nakoniec zjadł całego Budhę — lecz ten z martwych wstał jeszcze świętszym i czystszy jak był — i swoją krwią inne zwierzątka domowe karmił. Budhaizm jest z Indji wypędzony, ale rozszerzył się w Afganistanie, Beludżystanie, Tybecie, Chinach i Japonji; z czasów, gdy religja ta była panującą, zachowały się ogromne podziemne świątynie „pagodami“ nazywane. Z czasów także od śmierci Budhy przechodzi tradycja, że byli kaczerze, którzy zreformowane wyznanie budhaizmu szerzyli, lecz zostali zabici. Pierwsi tedy kaczerze na całym świecie istnieli na 2000 lat przed Chrystusem!

D. n.

Dziwne przemiany.

Jak wiadomo — Derwin plecie,
 Że jest wszystko na tym świecie
 Li materją; że przechodzi
 Niższy twór w wyższy; ten rodzi
 Znow wyższy, i tak dowodzi,
 Że człowiek z małpy pochodzi
 Któżby się dla pokrewieństwa
 Z małpą chciał zrzec człowieczeństwa?
 Trudno mu o zwolennika!
 Derwinizm spotęgowany
 Inne przedstawia przemiany:
 „Człowiek zmienia się w pińczyka
 Rozmyślnie i z woli własnej!”
 Wy mówicie to fałsz jasny,
 Nie można dać temu wiary,
 Boć to nikczemność bez miary!
 A przecież moi panowie!
 O tej tak dziwnej przemianie,
 Słyszałem pewne podanie; —
 Pytacie gdzie? gdzie? w Pińczowie!



Był czelczyzna dosyć sprytny
 Zbyt hącepywy i ambitny, —
 Nie chciał wyrość na człowieka
 Zmienił się w pincza — i szczeka.
 Świat nie wiele na tem traci
 Jednak zyskali — bogaci;
 Bo za jadła odrobinę
 Mają na usługi psinę. —
 Jeśli temu nie wierzycie,
 Pytam was, czyliż nie wiecie,
 Że gdy były czasy inne,
 Miały szpicie policyjne
 Ludzkie kształty? a gdy szyki
 Zmienione; teraz pińczyki
 Kształt, głos ludzki przybierają,
 I na ludzi ujadają.
 Tak tłumaczy mi te zmiany
 Derwinizm spotęgowany.
 Jeśli zbywa na jasności,
 Wykładowi — w ogólności
 To nie będzie innej rady,
 Jak Derwinizmu zasady
 Objąć wam szczegółami,
 By już raz skończyć z pińczami.

Polityczne i niepolityczne bazgraniny lwowskie.

Lwów dnia 17, 18 i 19 lutego r. 1868.

(Wieści ze wschodu. — Raport namiestnika Czech. — Zwolennicy praktycznego programu propagandy panslawistycznej. — Memorjał pińczyka dworskiego przestraszający szlachetne pudle przed knowaniem brytana i podający praktyczne rady jak kondle powrócić do posłuszeństwa.)

Wieści ze Wschodu dochodzą nas smutne,
 Car się sposobi na boje okrutne.
 Raport Czech namiestnika ma wybladłe lica,
 Pałackiemu się w nocy śniła szubienica;
 Panslawizmu zgubnego już są ślady jawne,
 Praktycznego programu propagandy dawne
 Zwolenników już liczą nawet między nami!
 Jamnika wczoraj słyszano pomiędzy kondlami,
 Jak się zwierzał w sekrecie, lecz dość zrozumiale,
 Że brytan z Nadpowiśla co na łańcuch wzięty
 Szczeka na jasnym panów jak gdyby najęty
 We wszystkim upatruje jakieś swoje ale
 Zkąd wniosek oczywisty, że przyjdą Moskale!

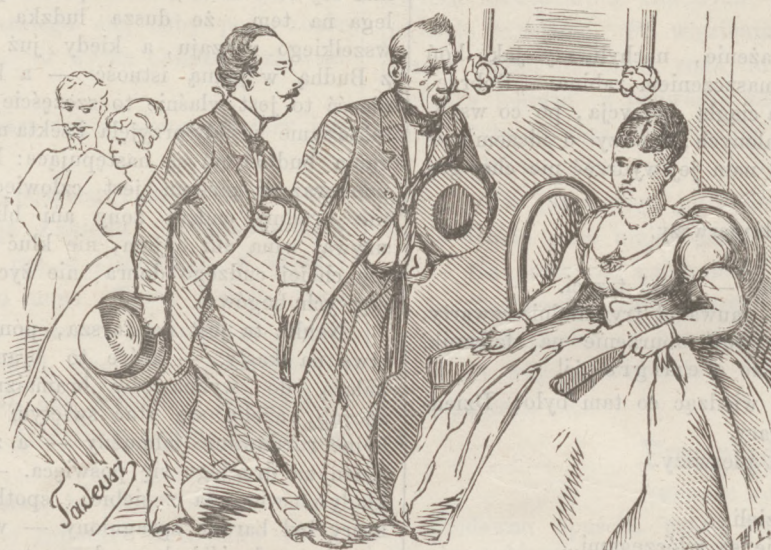
Bracia pińczy i pudle szlachetnego rodu!
 Brytan spiskuje na was — szczeka i kaleczy,
 Kondlom banki chce stawiać, ratować od głodu
 Tych, co waszej od wieków poruczeni pieczy —
 Czyż moskiewskich tu knowań nie jawne są ślady?
 Komunizm z socjalizmem dla waszej zagłady
 Brytan tak spotęgował w swoim ujadaniu,
 Że dla całej mej psiarni nie ma innej rady,
 Jak zwołać sejmik pudłów i radzić bez przerwy,
 Czy Neptun czy Azorek będą na śniadaniu! —
 A gdy jeden z nich zawsze jest synem Minerwy,
 Więc obiadek da pewnie, na którym ułożym,
 Co z brytanem pocniemy, jak kondle ukorzym;
 Czyby nie wypadło pogodzić się szczerze,
 Statutami warować wszystko na papierze
 Lub swojej działalności rozwinąwszy plany
 Salwować stary program dziś z błotem zmieszany,
 A zawsze gospodarskim wiodąc rzeczy torem
 Zakończyć wszystkie sprawy miłym rozhoworem!

Dan na przestrzeni pomiędzy ulicą Nową a salą biblioteki Ossolińskich w mojej nadwonnej budzie na podwórzu hotelu Georga.

Uniżony sługa
Pińczy dworski.

Obrona Ormian. *)

Pszonko młody nie dobrego,
 Na Ormjan nie mów złego.
 Kąsać może lada szerszeń,
 Lecz ty pomnij na swą kieszeń. —
 Z Ormjanami dobra sprawa
 Czy w urzędzie czy w Wydziale
 Ormian nie ma żadnych — ale
 Kocha Boga, ziemię, prawa,
 I przy łokciu sprawiedliwy
 I przy wadze jest uczciwy
 A w ziemiaństwie pracowity
 W obowiązek jakby wryty.
 Od ośm wieków my tu znani —
 Czas nas uznać Polakami!
 A gdyś z miecza liczby chęciwy
 O mój Pszonko miłościwy
 Policz proszę te wyprawy,
 W których Ormjan stawał z Tobą



Pan Ypsylon: Pani hrabina pozwoli sobie przedstawić! — Monsieur Iks! — obywatel z Tartakowskiego.

Hrabina wołyńska: Miło mi — a! to pański ojciec był lekarzem na Wołyniu?

Pan Iks: Ta... ta... tak pani hrabino Dobrodziejko, ale już umarł!!!

I szedł rączo na bój krwawy
 Wiodąc drugich jeszcze z sobą,
 To pod Warę, to z Jagiello
 To z Sobieskim to z Kościuszką.
 W wieńcu zbrojnym był on perłą
 Nie zajęcie miał serduszko!
 I w ostatniej też potrzebie
 Nie rachował na swe nogi
 I na jego też pogrzebie
 Wyprawiały harce wrogów!
 Tak mój Pszonko, panie miły
 Straszne mary Ci się śniły
 Byleś nie zdrów, nie wyspany,
 Gdyś Rzeszowskie wykpał pany
 A ten autor Rady w Radzie
 Wciąż bzikował w milej zwadzie.

70letnia Matrona
 sąsiadka Pacanowa.

*) Wiersz powyższy zamieszczamy dla jego oryginalności.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Ruiny zamku Tenczyńskiego (z ryciną). — Dr. Karol Libelt przez K. Widmana (dokończenie). — Chwila z życia akademików polskich w Petersburgu, przez Dzikowskiego (dokończenie). — Ubiory staropolskie (rycina). — Więzienie w Tobolsku. Urywek z pamiętników zbiega (z ryciną). — Rozmaitości. — Pszonka Humoreski (z ryciną.)